CZWARTEK
Nr 127 30 X 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Tu echosonda... Tu echosonda...

● Jak się mieszka w internacie ● Gdzie pokój czteroosobowy jest marzeniem a stołówka na kolację serwuje zupę z obiadu? ● Kto zna statut internatu? Co ów statut zawiera i dlaczego tak opornie jest wprowadzany w życie? ● Co o statucie mówi przedstawiciel Ministerstwa Oświaty i Wychowania?

– Możecie o tym przeczytać na stronie 3.

SAME DZIECI WYMYŚLIŁY TĘ NAZWĘ!

„SOBOTA DLA TRZPIOTA" – stałym zwyczajem Domu Kultury im. S. Żeromskiego w Warszawie

Jak donosi warszawski „Express Wieczorny", zapoczątkowana na wiosnę tego roku w warszawskiej dzielnicy Wola, akcja zapewnienia dzieciom kilkugodzinnej rozrywki, a rodzicom umożliwienia w tym czasie zakupów, spotkała się z uznaniem dorosłych i zadowoleniem dzieci. Teraz już każda sobota w Dzielnicowym Domu Kultury im. S. Żeromskiego, ul. Obozowa 85, jest „Sobotą dla trzpiota". Pod tą wesołą nazwą kryją się same atrakcje: występy artystów scen warszawskich, mikrofon dla małych śpiewaków, nauka piosenek, a na koniec – zabawa–niespodzianka z konkursami i nagrodami. Każda sobota w Domu Kultury odbywać się będzie pod innymi hasłami i z innym, mamy nadzieję – zawsze atrakcyjnym – programem. W każdej imprezie może wziąć udział ponad 200 dzieci. **(kl)**

I CO TAM SŁYCHAĆ, GRUBASIE?

Wrzucono cię kiedyś do tego ogrodzonego deskami kojca, odcięto od drzew, wody, uznano, że tak będzie lepiej. W końcu po co ci świat, zmieniające się obrazy, towarzystwo? Masz co jeść, dbają, żebyś miał czysto – o co tu jeszcze może chodzić takiemu morsowi?

O świat, proszę Człowieka... O to, co w nim się dzieje. Bo ciekawość to nie tylko wasza, ludzi, cecha. Pytacie co tam słychać? Wiem, ale nie powiem. I tak byście nie zrozumieli. **(mz)**

Fot. CAF

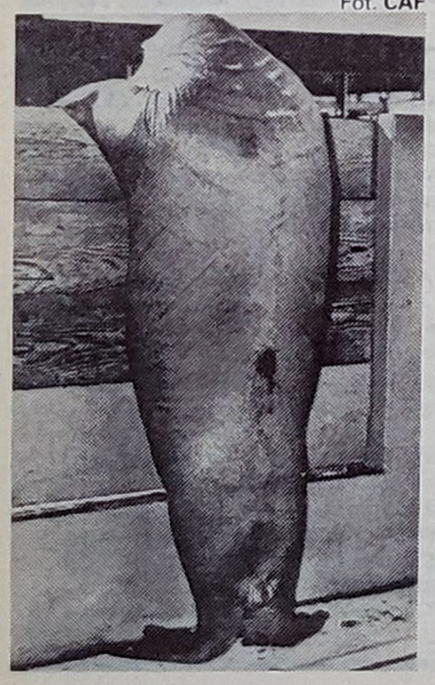

Janko Muzykant'80

Znów rozgorzała dyskusja nad reformą oświaty. Jak dotąd cały jej ciężar spoczywał na barkach źle opłacanych nauczycieli. Przemęczeni, znerwicowani, przytłoczeni biurokracją i kolejnymi zmianami programów nauczania, zajmując się nawet sprzedażą brakujących podręczników – nie mają sił i czasu na dokształcanie się i uczestniczenie w kulturze, którą mają szerzyć. Ich klasy liczą często po 40 osób, nauka odbywa się systemem wielozmianowym. Najgorzej wygląda to w szkołach podstawowych rozbudowujących się ośrodków przemysłowych i na wsiach, gdzie utworzono zbiorcze szkoły gminne. Miały one podnieść poziom wiejskiej oświaty tak, aby nie trzeba było dodawać przy egzaminach punktów „za pochodzenie społeczne" niedouczonym. Ale reorganizacja szkół wiejskich trafiła na nieprzygotowany grunt, zabrakło funduszów na zadowalającą jej realizację – co zresztą wiąże się z wieloletnim zacofaniem naszej wsi i rolnictwa, mimo głoszonych haseł o jego ogromnej roli. Uczniowie nie mają więc nawet czym dojeżdżać do nowych szkół – skąd akcje w rodzaju: „Rowerem do szkoły". O zawodzącej, złej komunikacji mówi się od dawna – ale na razie zmianie uległy w niej głównie ceny biletów.

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Szkoła z pięknymi tradycjami

STO LAT, ZŁOTY JUBILACIE!

NOWY SĄCZ (PAP). Dumą liczącego z górą 600 lat Grzybowa – miasteczka w woj. nowosądeckim, jest 100-letnia szkoła zawodowa. Powołana do życia w 1880 r. jako Krajowy Warsztat Kołodziejski, przechodziła w ciągu wieku różne przeobrażenia. Dziś kształci, i to dobrze, aż 600 uczniów.

11 października br. podczas jubileuszowych uroczystości, przekazano uczniom nową część warsztatów szkolnych. Przygotowano też, naszym zdaniem bardzo pożyteczną, wystawę tradycji i dorobku Zespołu Szkół Zawodowych im. St. Staszica. **(kl)**

To też historia

Unikalne skarbonki

KRAKÓW (PAP). W pomieszczeniach dyrekcji krakowskiego oddziału PKO otwarta została oryginalna wystawa starych, unikalnych skarbonek. Eksponaty dostarczył Narodowy Bank Polski oraz zbieracze z Warszawy, Poznania, Krosna, Białegostoku, Krakowa, a także z Austrii, Australii i Szwecji. W kolekcji znalazły się stare, mające zabytkową wartość skarbonki, wykonane z drzewa hebanowego czy mosiądzu. Jedna z nich, przedstawiająca postać Władysława Jagiełły, a wykonana w 1910 roku, gromadziła pieniądze na budowę pomnika pogromcy Krzyżaków. **(as)**

W towarzystwie jadowitych węży zdobywał majątek

REKORDZISTA?

(**„DZIENNIK LUDOWY"**). Pueblo Marcos – brazylijski jasnowidz, czarnoksiężnik i fakir – ustanowił niedawno nowy rekord obywania się bez pożywienia. W towarzystwie 30 jadowitych węży i żmij przeleżał on na nabitej ostrymi gwoździami desce, umieszczonej w szklanej skrzyni, pełnych 115 dób! Jego dzienne pożywienie składało się wyłącznie z 3–4 szklanek gorzkiej herbaty i soków owocowych. Schudł 30 kg, zyskał zaś – majątek. Czujnie zainkasował bowiem dochód ze sprzedaży biletów. Chętnych do oglądania współczesnego fakira było aż 220 tysięcy... **(kl)**

UWAGA, CZYTELNICY!
Następny numer naszej gazety ukaże się we wtorek 4 listopada

(CAF). Pani Krystyna Brzechwa, córka znanego poety i pisarza Jana Brzechwy, autora Waszych i naszych ukochanych książek (choćby „Kaczka dziwaczka", „Akademia Pana Kleksa") jest podobnie jak ojciec utalentowana, choć wybrała inną dziedzinę twórczości. Pani Krystyna jest malarką. Tworzy oryginalne obrazy, na których ożywają demony, fausty, anioły. Są też na nich ludzie współcześni – młodzi, z wielkimi głowami, tacy jak pani na portrecie (na zdjęciu – w pracowni pani Krystyna Brzechwa).

Fot. CAF

Wizytówki naszych miast

JAROSŁAW

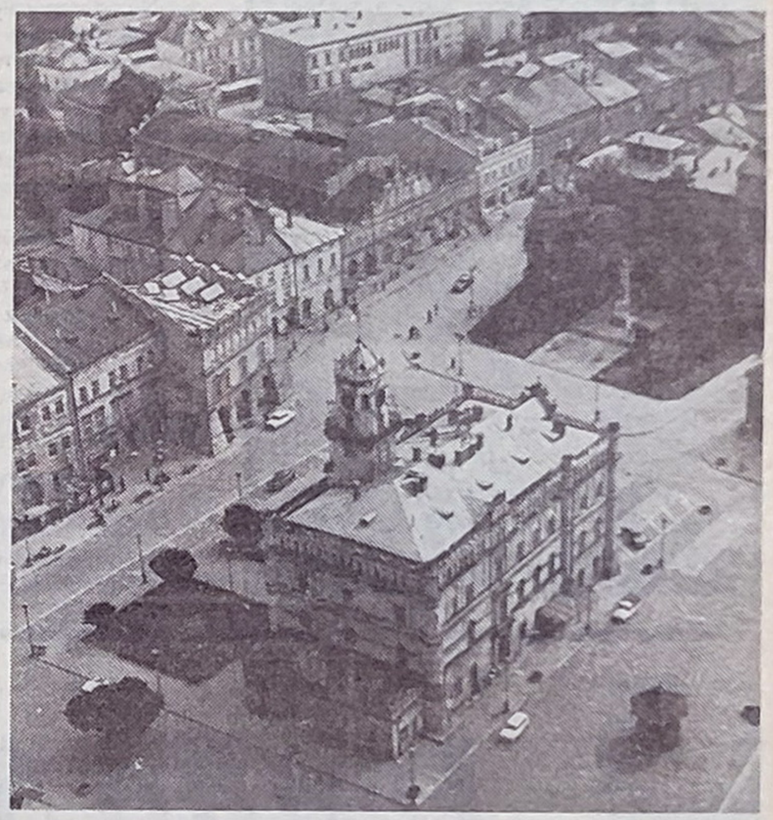

Miasto malowniczo położone na wzgórzach nad Sanem, z licznymi zabytkami. Tradycja mówi, że założone zostało przez ks. halickiego, Jarosława Mądrego (978–1054). Pierwsze wzmianki – już z roku 1152. Od 1382 roku Jarosław posiada prawa miejskie w granicach Polski. W XV–XVIII w. ważnym handlowym miastem, miejscem słynnych jarmarków z udziałem kupców z całego świata (po frankfurckich – największe w Europie Środkowej).

W tym okresie budowano kamienice z krytymi podwórzami otoczonymi galeriami, tzw. wiatami, w których kupcy rozkładali towary oraz kilkukondygnacjowe piwnice, służące jako składy, a także jako schronienie mieszkańców w razie najazdów tatarskich.

Od połowy XVII wieku następuje stopniowy upadek miasta. Centrum średniowiecznego miasta jest rynek z pseudorenesansowym ratuszem przebudowanym z gotyckiego. Wokół rynku usytuowane są kamienice późnorenesansowe, podcieniowe, rozbudowane po wielkim pożarze miasta w 1626 r. Nadbudowano wówczas piętra i dodano trzeci trakt (droga wiodąca od rynku). N/z: rynek w Jarosławiu z lotu ptaka. **(dr)**

O tym warto wiedzieć:

Przed Madrytem – stanowisko krajów socjalistycznych

19 i 20 października odbyło się w Warszawie kolejne posiedzenie Komitetu Ministrów Spraw Zagranicznych Państw – Stron Układu Warszawskiego o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej. W opublikowanym w prasie polskiej komunikacie znajdujemy oficjalny wyraz opinii komitetu Ministrów wobec problemów związanych z mającym się odbyć 11 listopada tego roku spotkaniem państw – uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie i ze zwołaniem konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie.

Przypomnijmy – pierwsza Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie odbyła się w roku 1975 w Helsinkach. Jej uczestnicy zgodzili się spotykać ze sobą w różnych miejscach naszego kontynentu w regularnych odstępach czasu po to, by ustalić, w jakim stopniu ustalenia KBWE realizowane są w praktyce. W roku 1978 spotkanie takie zorganizowano w Belgradzie, umawiając się, że miejscem następnego ma być właśnie Madryt. Czas, który upłynął od ostatniej konferencji obfitował jednak w wydarzenia, które doprowadziły do bardzo napiętej sytuacji politycznej, niezbyt sprzyjającej spokojnemu i rzetelnemu przygotowaniu madryckich obrad. Państwa należące do Układu Warszawskiego poczuły się w obowiązku wyrazić swoje tym faktem zaniepokojenie, a dalej sformułować i ogłosić wspólną płaszczyznę działania na arenie międzynarodowej.

Uczestnicy posiedzenia w Warszawie potwierdzili, że reprezentowane przez nich państwa są zdecydowane dążyć do zaprzestania wyścigu zbrojeń. Odprężenie polityczne, a więc zrezygnowanie z działań pełnych nieufności wobec innych państw i rządów, czasem nawet aktów wrogich, ingerujących w sprawy wewnętrzne bliższych i dalszych sąsiadów zależy od politycznej woli wszystkich członków wspólnoty państw obradujących w Madrycie. Za taką właśnie postawą woli politycznej, za dążeniem do osiągnięcia uzgodnień możliwych do przyjęcia przez wszystkich opowiedziano się w Warszawie. Ministrowie spraw zagranicznych wychodząc z założenia, że w aktualnych warunkach decydujące znaczenie dla rozwoju stosunków międzynarodowych ma złagodzenie napięcia militarnego ponownie zaproponowali spotkanie się w tej sprawie właśnie w stolicy Polski. Warszawa mogłaby stać się miejscem, w którym dyskutowane odprężenie militarne i rozbrojenia byłoby naturalną konsekwencją procesu rozpoczętego konferencją w Helsinkach.

Ministrowie ustalili dalej, że sprawą pożądaną i możliwą jest osiągnięcie w Madrycie postępu w realizacji istniejących od 1975 roku uzgodnień dotyczących kultury, oświaty, informacji i kontaktów wzajemnych, które określa Akt Końcowy KBWE. Sprawa ta ostatnio sygnalizowana była jakby z mniejszym naciskiem, przesłoniły ją w Środkowej Europie problemy związane z zamiarem wprowadzania do arsenałów NATO nowych rodzajów broni jądrowej średniego zasięgu. Uczestnicy posiedzenia oświadczają w swym komunikacie, że Państwa – Strony Układu Warszawskiego gotowe są przystąpić do poważnych rozmów na ten temat z innymi zainteresowanymi państwami natychmiast po dwustronnym ustaleniu terminu.

Przygotowania do spotkania w Madrycie napotykają do tej pory na wiele przeszkód. Komunikat warszawski jasno precyzuje stanowisko państw socjalistycznych. Na pewno jest to podstawa do dalszych, rzeczowych rozmów. (mz)

„SZTUCZNE" ZNACZY NIEZBĘDNE I POŻĄDANE

Modne stało się narzekanie na chemię i wychwalanie dawnych, dobrych czasów, kiedy „wszystko było naturalne". A to działkowicz chwali się „nie spryskiwanymi" owocami, a to właściciel domku podłogą z dębowej klepki, a nie „jakichś tam wykładzin" z tworzyw sztucznych, a to znowu panienka pokazuje sukienkę ze „100% bawełny" i sweterek „z czystej żywej wełny", a nie z „uczuleniowych" włókien chemicznych.

Trudno to sobie wyobrazić, ale sto lat temu nie było jeszcze tych wszystkich produktów chemicznych, tak jak nikomu się nie śniło o telewizorach, sputnikach, czy nawet samolotach. Czy jednak ludziom żyło się wtedy wygodniej, czy głosiciele „powrotu do natury" chcieliby żyć w tamtych czasach – bez elektryczności, radia, telewizji, lodówek, a także bez **włókien chemicznych, tworzyw sztucznych i kauczuków syntetycznych?**

O tych trzech grupach wyrobów chemicznych chcę właśnie powiedzieć Wam parę słów, ale żeby się zmieścić w ciasnych ramach tego artykułu, opowiem tylko o pierwszych krokach w każdej z nich...

WŁÓKNA CHEMICZNE

Był rok 1854. **Hilary hrabia de Chardonnet** (czytaj: Szardone) obserwował walkę Ludwika Pasteura z zarazą, jaka niszczyła belgijskie, francuskie i niemieckie hodowle jedwabników. Pasteur wówczas opanował zarazę i uratował od klęski wytwórnie tkanin jedwabnych, ale o ileż lepiej byłoby znaleźć metodę otrzymywania nitki jedwabnej bez udziału gąsienic jedwabnika, bez względu na pogodę i podaż liści morwy! Po trzydziestu latach badań i doświadczeń, w maju 1884 r., Chardonnet przedstawił Akademii Nauk w Paryżu ***„nową nitkę, przeźroczystą, giętką i jedwabistą w chwycie (t.zn. w dotyku) i wyglądzie"***. Nie poprzestał na samym wynalazku – w 1891 r. ruszyła w Besançon fabryka, dająca 50 kg **jedwabiu sztucznego** dziennie.

Tę ***„nową nitkę jedwabistą w wyglądzie"*** otrzymywano przepuszczając roztwór alkoholowo-eterowy nitrocelulozy (tzw. kolodium) przez otworki, odparowanie rozpuszczalnika i „zahartowanie" nitki w odpowiednim roztworze chemicznym.

Taki sam jedwab kolodionowy wytwarzano w Tomaszowie Mazowieckim w latach 1907–1930. Teraz takiego jedwabiu już się nie wytwarza – opracowano lepsze metody otrzymywania jedwabiu z celulozy, a także włókien całkowicie syntetycznych – poliamidowych, poliestrowych i innych.

TWORZYWA SZTUCZNE

Najpierw prośba: nigdy nie mówcie o „plastykowych" torebkach czy stosowaniu „mas plastycznych". Polska nazwa tej grupy produktów chemicznych brzmi „tworzywa sztuczne" i nie należy jej mylić z angielskimi „plastykami" czy rosyjskimi „płastmassami".

Co powiedziawszy, mogę wyjawić, że po półsyntetycznym ebonicie i celuloidzie, pierwszym całkowicie syntetycznym tworzywem sztucznym produkowanym na skalę przemysłową był bakelit. W październiku 1907 r. dr **Leo Hendrik Baekeland**, amerykański chemik pochodzenia belgijskiego, uzyskał patent na otrzymywanie żywicy syntetycznej z fenolu i aldehydu mrówkowego. Wynalazek był efektem poszukiwań taniej namiastki szelaku – żywicy naturalnej, importowanej z tropików. Baekeland zauważył, że gdy ogrzewa się formaldehyd i fenol w określonych warunkach i w obecności małych ilości kwasów lub zasad, otrzymuje się rodzaj topliwych, żywic rozpuszczalnych w alkoholu. Żywice te raz ogrzane do odpowiedniej temperatury zamieniały się nieodwracalnie w substancje twarde, nierozpuszczalne i nietopliwe, czyli w **bakelit**.

Okazało się, że żywice te można mieszać przed utwardzeniem z mączką drzewną, skrawkami tkanin lub innymi wypełniaczami – i wykonywać z niego obudowy telefonów, uchwyty do garnków i wiele innych przedmiotów.

Później wynaleziono wiele innych tworzyw – utwardzanych jednorazowo i nieodwracalnie oraz takich jak polietylen, PCW, polipropylen i inne „termoplastyczne", które ogrzane miękną, po ochłodzeniu twardnieją – i tak wielokrotnie. Ale przecież o klasyfikacji tworzyw sztucznych mieliśmy dziś nie mówić!

KAUCZUKI SYNTETYCZNE

Dżungla amazońska i plantacje indochińskie nie dawały żądanych ilości kauczuku naturalnego na opony i artykuły gumowe, niezbędne dla przemysłu samochodowego i maszynowego. Chemicy szukali nowych dróg, ale mimo pewnych osiągnięć niemieckich w czasie pierwszej wojny światowej, pierwszym kauczukiem syntetycznym produkowanym na wielką skalę, był radziecki **kauczuk butadienowy**. Podstawą było odkrycie z 1910 r., kiedy prawie jednocześnie dokonali polimeryzacji butadienu Rosjanin **Lebiediew**, Niemiec **Harries** oraz Anglicy **Matthews i Strange**.

W 1926 r. Najwyższa Rada Gospodarki Narodowej ZSRR ogłosiła konkurs międzynarodowy na opracowania przemysłowej metody syntezy kauczuku – Związek Radziecki, nie mając dostępu do kauczuku naturalnego, chciał się uniezależnić od importu. Termin składania rozwiązań ustalono na 1 stycznia 1928 r., a więc czasu było mało. Inne warunki też były ostre: należało przedłożyć komisji 2 kg kauczuku oraz szczegółowy schemat zakładu przemysłowego.

Sergiej Wasiljewicz Lebiediew podjął wyzwanie. Zorganizował grupę siedmiu chemików i już w połowie 1927 r. znalazł rozwiązanie na skalę laboratoryjną. A jednak się udało – i w trudnych warunkach wyprodukował żądane dwa kilogramy swojego kauczuku, które przedstawił jury konkursu prawie w ostatniej chwili: 30 grudnia 1927 r.!

Na przełomie 1929/1930 r. otworzono w Leningradzie zakład doświadczalny kauczuku „sodowo-dwuwinylowego", a wkrótce potem zakłady przemysłowe ruszyły pełną parą.

Podstawowym materiałem wyjściowym był butadien, otrzymywany z alkoholu etylowego. Metodę tę udoskonalili Polacy – w 1937 r. inżynierowie **Szukiewicz, Werbachowski** i inni uruchomili w Dębicy produkcję kauczuku syntetycznego „KER" (kauczuk erytrenowy, bo wtedy butadien nazywano erytrenem). W czasie drugiej wojny światowej inż. Szukiewicz był współtwórcą przemysłu kauczuku syntetycznego w Stanach Zjednoczonych, ale to już inna historia...

CZAS JUŻ KOŃCZYĆ...

...więc wypada powiedzieć, dlaczego jednym tchem opowiedziałem o włóknach chemicznych, tworzywach sztucznych i kauczukach syntetycznych. Otóż są one **polimerami**, związkami zbudowanymi z wielu tysięcy pojedynczych segmentów czy cegiełek, monomerów. W przyrodzie takimi polimerami są np. białka (także jedwab i wełna), celuloza (bawełna), kauczuk naturalny. Kunszt, sztuka syntezy chemików i badaczy pozwoliła na uzyskanie polimerów syntetycznych. Różnie można je klasyfikować i dzielić – tu przyjęliśmy podział na trzy grupy:

– **fibromery** czyli włókna chemiczne,
– **plastomery** czyli tworzywa sztuczne,
– **elastomery** czyli kauczuki syntetyczne.

A tak w ogóle, to nie należy ulegać modzie i psioczyć na chemię. Gdyby nie ona, nie byłoby w czym chodzić, bo przecież nikt nie oddałby ziem pszenicznych i zbożowych pod pastwiska czy uprawę bawełny, nie starczyłoby drewna na meble, kauczuku naturalnego na opony itd. itd. – życie w dzisiejszej postaci cywilizacyjnej nie byłoby po prostu możliwe...

KRZYSZTOF GUTORSKI
Fot. archiwum

Janko Muzykant '80

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Wie coś o tym i młodzież dojeżdżająca do szkół średnich. Zaś ilość i stan istniejących przy nich internatów jest przedmiotem nie tylko naszych alarmów. Cóż, jeśli i tu brakuje pieniędzy! Żeby nie było niedomówień – Minister Oświaty i Wychowania Krzysztof Kruszewski napisał niedawno w „Trybunie Ludu": *„Dostosowanie sieci szkolnej do stanu demograficznego wymaga do roku 1990 ponad 167 miliardów złotych. Społeczeństwo takich środków na ten cel nie wypracuje..."*

Jak na ironię, szkoły wiejskie, których większość nie może się uporać z własnymi kłopotami, obarcza się jeszcze obowiązkiem zapełnienia wolnego czasu uczniom pozbawionym klubów, kin, teatrów, prasy i książek. Zaharowanym nauczycielom zleca się prowadzenie szerokiej działalności pozalekcyjnej propagując akcję „otwartych szkół", w których naucza się wszak na trzy zmiany do późnego popołudnia. Rozmaite świetlice i domy kultury niewiele im mogą pomóc – same od lat pozbawione są fachowych instruktorów i funduszy. Tam, gdzie pieniądze na atrakcyjną działalność by się znalazły – wydaje się je często na galowe imprezy z okazji rocznic i świąt lub na reprezentacyjne zespoły ludowe będące chlubą regionu.

I w tym właśnie, że szkoła działa dzisiaj zwykle na prawdziwej pustyni kulturalnej – leży jedna z głównych przyczyn jej niepowodzeń, których najlepsza nawet jej reforma w sukcesy nie zamieni! Tak, tak! Stan naszej kultury nie jest wynikiem kilku ostatnich lat błędów – to już całe ćwierćwiecze pogardy dla niej, oszczędności kosztem tej „nieprodukcyjnej" ponoć, nie przynoszącej łatwo wymiernych zysków dziedziny życia. Nastąpiło to po pierwszych 10 latach wspaniałej rewolucji kulturalnej, którą przyniósł Polsce socjalizm. Nie szczędzono tylko pieniędzy na festiwale, imprezy propagandowe i prestiżowe – co i do szkoły trafiło w formie osławionych akademii na sali gimnastycznej. Przeciwstawiając kulturę – pracy, co uwidoczniło się w haśle: „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką", traktowano te ostatnie jako luksusową ozdóbkę, przysłowiowy kwiatek do kożucha.

Oczywiście za największy zbytek uważano rozbudzanie wrażliwości i intelektu dzieci, które o swoje prawa się nie upomną – bo jak ryby – głosu nie mają! Nie ma więc dla nich prawie filmów, teatry dramatyczne dają rocznie 15 premier, nakłady książek i pism zmniejszono do minimum. „ŚM" ograniczać musi ilość kolorowych ilustracji, numery „Świerszczyka", „Płomyczka" spóźniają się o miesiąc. Brak najprostszych instrumentów uniemożliwia wychowanie muzyczne – zaś plastyczne udaremnia brak dobrych reprodukcji, przeźroczy, albumów. We wszystkich dziedzinach jesteśmy tu na ostatnim miejscu wśród europejskich państw naszego obozu!

Jakie z tego wnioski? Oczywiste! A za pointę nich posłuży cytat z referatu Andrzeja Wajdy:

„Jeśli wyobrazimy sobie drogę do kultury, jaką przejść musi uzdolniony młody człowiek urodzony w rodzinie chłopskiej lub robotniczej na głębokiej prowincji, gdzie nie ma kina, nie ma teatru, gdzie nie docierają coraz niższe nakłady książek, gdzie wreszcie od najwcześniejszego dzieciństwa dzień wypełniony jest często wielokilometrową wędrówką do szkoły zbiorczej – to bez żadnych dodatkowych wyjaśnień zrozumiemy, że mimo osobistych uzdolnień zostanie on wyprzedzony przez swoich rówieśników mieszkających w wielkim mieście i pochodzących ze środowisk zamożniejszych lub uprzywilejowanych. Jest faktem bolesnym lecz prawdziwym, że w Polsce w latach osiemdziesiątych powtórzyć się może i zapewne już gdzieś powtarza los Janka Muzykanta."

Dobrze, że zaczęliśmy mówić o tym głośno!

JULIUSZ GOSTKOWSKI

Tu echosonda...

INTERNAT DRUGIM DOMEM JEST CZY NIE JEST?

W 113 i 114 nr „ŚM" zaprosiłam mieszkańców internatów do udziału w echosondzie. Dziś przedstawiam jej wyniki. Z listów wyłania się obraz przeciętnego internatu, który odbiega daleko od opisanego przeze mnie w nr 114, obiektu z ul. Alpejskiej w Warszawie.

W Kluczborku wygląda to tak: *Nasz internat to stary budynek ze świetlicą, w której jest kilkanaście foteli i popsuty telewizor (świetlica ciągle zamknięta). Łazienki są, lecz ciepła woda jest tylko dwa razy w tygodniu i to nie zawsze. W stołówce stale brak noży, szklanek itp. O pokojach czteroosobowych możemy tylko pomarzyć. Nasze koleżanki z Warszawy mają dwa boiska sportowe, my jedną dróżkę prowadzącą z jednego bloku do drugiego. Wychowawczyni naszego bloku jest fajna, ale ulega wpływom pani dyrektor, która nie utrzymuje jakiegokolwiek kontaktu z młodzieżą. Można z nią porozmawiać tylko wtedy, gdy płacimy za internat i wtedy, gdy się coś przeskrobie. Jeśli już ktoś się czegoś domaga, to jest skrzętnie uciszany. Czas wolny również mamy do 16-tej, a później nie można wyjść nawet na ławkę przed budynkiem. Gdy ktoś ma lekcje do 16-tej, to aż do następnego dnia dusi się w ponurym pokoju. Od kiedy jesteśmy tutaj, była jedna, jedyna dyskoteka, na którą nie miałyśmy wstępu, ponieważ chodziłyśmy do pierwszej klasy. O nowym statucie internatu do tej pory nic nie wiemy. Wiemy tylko, że nasze piece kaflowe są nie do użytku i nie ma węgla. Nawet błahy wyskok jest karany. Kary są różne na przykład sprzątanie przed internatem, mycie okien w stołówce. Nie wiemy, czy można coś pozytywnego znaleźć w naszym internacie. Dla nas nie jest on drugim domem.*

(Mieszkanki Internatu ZSR nr 1)

Wiele listów utrzymanych było w podobnym tonie. Tylko jedna uczestniczka echosondy napisała, że jej internat jest wspaniały:

Od trzech lat mieszkam w internacie przy Technikum Gastronomicznym w Warszawie. Co niedzielę mogę jeździć do rodziców. Atmosfera w internacie jest tak miła i serdeczna jak w domu. Główną tego przyczyną jest pani dyrektor, bardzo dbająca o dobre warunki do nauki, czystość i porządek w stołówce, świetlicy. W naszym internacie wszystko jest na medal. Co tydzień organizowane są dyskoteki, na których wspaniale się bawimy. Mamy też spotkania z dorosłymi, dzięki którym możemy poznać nasz przyszły zawód. Nasz internat to naprawdę drugi dom.

(Marta)

Nie wszędzie jest tak cudownie. Przyjrzyjmy się bliżej, jakie problemy mają mieszkańcy internatów. I jeszcze uwaga – większość uczestników echosondy prosiła o zachowanie dyskrecji, nie podajemy więc ich imion i nazwisk, a tylko adresy internatów, o których piszą.

„GARY" I „KOTY", CZYLI LEPSI I GORSI?

U nas brak imprez czy rozrywek, a jeśli już coś jest organizowane, to tylko dla technikum, dla zasadniczych klas nie ma nic. To nas boli, czujemy się niepotrzebni. Wychowawcy są obojętni i w ogóle na to nie reagują.

(Internat ZSR Sławno)

Internat jest podzielony na grupy: „mechaników" i „gary" (od gastronomii). Starszych i „kotów". Jestem „kotem" więc się nie mogę sprzeciwić starszym. Już drugoklasiści uważają się za starszych. Dają zeszyty, żeby im przepisywać, robić marginesy. Jeśli nie zrobisz na czas, lub się sprzeciwisz, w nocy będziesz miał „rowerek"; lepiej nie opisywać na czym to polega. Druga grupa – „mechanicy" cały czas przeszkadzają w nauce.

(Internat w Gorzowie Wlkp.)

W stołówce każdy powinien stanąć w kolejce po odebranie swej porcji. Niestety, kto silniejszy, ten pierwszy. Zwłaszcza dotyczy to zawodników „Resovii", którzy zajmują pół piętra w internacie. Nie zdarzyło się chyba jeszcze, żeby któryś z nich stał w kolejce, chociaż są w tym samym wieku co my, lub niewiele starsi, tyle że silniejsi fizycznie.

(Internat przy ZSB Rzeszów)

Jak już jesteśmy w stołówce – sporo listów zawierało niezbyt optymistyczne wiadomości na temat internackiej kuchni:

Gdy się dostanie kolację, to jest tego tak niewiele, że trzeba się zapychać samym chlebem. Płacimy za wyżywienie 1000 zł, a jest ono znacznie gorsze niż w ubiegłym roku, np. na kolację dostajemy zupę z obiadu. O jedzeniu wolę nie wspominać. Wiem, że są trudności z wyżywieniem, ale np. na kolację była zupa mleczna z chlebem, to przecież można było kupić do tego chociaż dżem.

...NAJBARDZIEJ DOKUCZA

...jednak mieszkańcom internatów nie liczenie się z ich opinią w wielu codziennych sprawach. Chodzi o wyjścia w czasie wolnym, wyjazdy do domu, zwolnienia do kina. Są też skrajniejsze przypadki, jak ten z Rzeszowa:

Internat jest stopniowo remontowany. Gdy robotnicy o 15-tej kończą pracę, wychowawcy gromadzą do pracy grupy chłopców, nie pytając ich o zdanie. Chłopcy wracają w brudnych, czasami podartych ubraniach. Próby poruszania spraw takich jak ta, na zebraniach rady internatu są tłumione. A przecież chodzi o to, żeby mieszkańcy pracowali z własnej woli, a nie ze strachu, że stracą miejsce w internacie.

Trudno nie zgodzić się z tą opinią, jak również z poglądami członka Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej z Krosna:

Mógłbym narzekać na braki, na złe warunki, ale jeśli rozpatrzę te problemy w szerszym aspekcie, zdając sobie sprawę z trudności, zarówno kierownictwa szkoły jak i w ogóle kraju – to zrozumiem i nie będę narzekał. Trudno zdecydowanie odpowiedzieć, czy internat jest zawsze „drugim domem". To zależy z całą pewnością także od mieszkańców. Bo, niestety, a może i dobrze, wychowawca nie może nas zmusić do przyjaźni, koleżeństwa. Musimy sami być tym „wentylatorem", który będzie konsekwentnie odnawiać atmosferę naszego domu – internatu.

(Stanisław Dłuski)

KTO ZNA STATUT INTERNATU?

Otóż – nikt z moich korespondentów! W listach powtarzały się prośby typu: „Przyślijcie lub opiszcie statut, nic o nim nie wiemy". Dla wszystkich zainteresowanych zamieszczamy obok rozmowę o statucie z przedstawicielem Ministerstwa Oświaty i Wychowania.

ANNA PACIOREK

PS. Mam kłopot z wysłaniem obiecanych długopisów, bo autorzy większości listów prosili o niepodawanie nazwisk. Były też listy pisane wspólnie. Na razie wysyłam długopisy Marcie i Staszkowi Dłuskiemu. Pozostałe osiem rozlosuję, gdy uczestnicy echosondy przyślą swoje domowe adresy. Żeby te adresy było łatwiej wyłowić z redakcyjnej korespondencji, dopiszcie na kopertach **„Echosonda"**.

Fot. **M. Żbikowski**

„ŚM" rozmawia z JERZYM FERGIŃSKIM st. specjalistą w Departamencie Wychowania w Szkole, Rodzinie i Środowisku MOiW

CO NOWEGO W STATUCIE INTERNATU?

„ŚM" – Prace nad przygotowaniem statutu trwały 5 lat. Jakie problemy udało się rozwiązać? Jakie zmiany wprowadzono?

JF – Dotychczas nie było jednego statutu określającego działalność wszystkich burs i internatów; w każdym resorcie były inne przepisy, zarządzenia. Zgodnie z Kartą Praw Nauczyciela wychowawca internacki miał 42-godzinny tydzień pracy. Ministerstwo wystąpiło o obniżenie wymiaru do 36 godzin tygodniowo. W nowym statucie podwyższono wymiar godzin pracy opiekuńczo-wychowawczej przeznaczonych na 1 grupę do 70 godzin tygodniowo w internatach szkół podstawowych, 49 godzin w internatach szkół ponadpodstawowych i 55 godzin w bursach. Ponadto we wszystkich internatach szkół podstawowych (i w uzasadnionych przypadkach w internatach szkół ponadpodstawowych) zapewnia się opiekę nocną.

„ŚM" – Czy zmniejszyła się także liczba wychowanków przypisanych jednemu wychowawcy?

JF – Tak. Poprzednio grupa liczyła 50 i więcej osób. Teraz ustaliliśmy, że w internatach szkół podstawowych grupa powinna liczyć przeciętnie 25–30 osób, a w szkołach ponadpodstawowych 35–40 osób.

„ŚM" – Naszych czytelników najbardziej interesują ich prawa i obowiązki. Co statut mówi o samorządności?

JF – Prawa i obowiązki wychowanka określa Kodeks Ucznia, a ponadto zawarte w statucie uzupełnienia. Daliśmy młodzieży więcej głosu, prawo do uczestnictwa w całokształcie działalności internatu, prawo do decydowania o sprawach bezpośrednio jej dotyczących.

„ŚM" – A konkretnie, co młodzieży wolno, jeśli chodzi na przykład o czas nauki własnej czy odpoczynek?

JF – Oczywiście musi być ustalony czas odrabiania lekcji, wspólny dla wszystkich, tak, by w tym czasie wychowawcy mogli pomóc słabszym. Ale to nie znaczy, że osoba, która nie ma nic do odrabiania musi siedzieć w sali. Nie może ona tylko przeszkadzać kolegom. Jeśli chodzi o wychodzenie z internatu w czasie wolnym, wystarczy wpis do zeszytu wyjść. Pozostałe wyjścia należy uzgodnić z wychowawcą.

„ŚM" – A co z wyjazdami do domu, z przyjmowaniem gości?

JF – Dotychczas mieszkańcy internatów mogli jeździć do domu przeciętnie raz w miesiącu. Teraz mogą, po uzgodnieniu z wychowawcą, w każdą niedzielę i wolny dzień. Jeśli chodzi o odwiedziny, to mieszkańcy mogą przyjmować, po zawiadomieniu wychowawcy, swych gości, również w pokojach. Ogólnie można stwierdzić – im więcej się udzieli młodzieży praw, tym lepiej przebiega praca wychowawcza w internacie.

„ŚM" – Z przeprowadzonej echosondy wynika, że mieszkańcy wielu internatów nie wiedzą nic o statucie. Czy znają go wychowawcy? Czy Ministerstwo ma w planach wydanie statutu w takiej formie jak Kodeks Ucznia? I czy na wydaniu się skończy? Przecież listy takie, jak zamieszczone w echosondzie z Rzeszowa czy Kluczborka, właściwie wymagają interwencji...

JF – Owszem, w trakcie opracowania jest poradnik przedmiotowo-metodyczny dla wychowawców internatów i burs szkolnych, w którym również zamieszczony będzie statut.

„ŚM" – A co do chwili ukazania się podręcznika?

JF – Statut został ogłoszony w Dzienniku Urzędowym MOiW nr 5 z dn. 21 IV 1980 r. Kuratoria Oświaty i Wychowania nałożyły na wszystkich kierowników internatów obowiązek zapoznania młodzieży ze statutem i wprowadzenia go w życie. Równocześnie ze statutem ogłoszone zostały wytyczne, które w sposób szczegółowy określają zadania zarówno kadry pedagogicznej jak samorządu i organizacji działających na terenie internatu. Z moich wizytacji przeprowadzonych w kilku województwach wynika, że zarówno statut jak i wytyczne są wdrażane do praktyki np. w internatach: Zespołu Szkół Rolniczych w Miętnem i Aleksandrowie Kujawskim, Zespołu Szkół Medycznych w Bydgoszczy. Mógłbym podać przykłady z innych województw np. opolskiego czy krakowskiego. Są jednak przypadki zaniedbywania obowiązków przez niektórych pracowników jak np. w internacie Zespołu Szkół Budowlanych w Bydgoszczy. Niestety, zarządzenia realizują konkretni ludzie, zatrudnieni w tych placówkach. Nasilone w ostatnich miesiącach wizytacje internatów mają poprawić sytuację zamieszkałej w nich młodzieży. MOiW organizuje również kursokonferencje dla kierowników internatów.

„ŚM" – Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiała ANNA PACIOREK

Dobry harcerski zwyczaj każe, że tuż po zakończeniu jednego obozu należy rozpoczynać przygotowanie do następnego. Wierni tej zasadzie harcerze z XVI Szczepu HSPS im. St. Staszica działającego w Zasadniczej Szkole Górniczej kopalni „Bobrek" w Bytomiu zaraz na początku września podsumowali minione lato i... No, właśnie. Nie bardzo wiadomo co dalej!

Co dalej z Akcją „Staszic"

Pod koniec czerwca 1976 roku harcerze z „Bobrka" wyjechali na pierwszy obóz do Michałowa koło Starachowic. Był to tzw. obóz pilotażowy nowej, od początku do końca wymyślonej przez nich samych, harcerskiej akcji pn. „Staszic". Bliska im była postać Stanisława Staszica, nie bez powodu przecież zwanego dziś „ojcem polskiego górnictwa i hutnictwa".

Przez cały obóz, obok typowo harcerskich zajęć, pracowali przy robotach porządkowych i konserwacyjnych skansenu starego hutniczego pieca. Nawiązali pierwsze kontakty z pracownikami Muzeum Zagłębia Staropolskiego – Oddziału Muzeum Techniki NOT w Warszawie. Na obóz przyjechali goście, wpisując pochwalne opinie do kroniki, ukazywały się publikacje w regionalnej prasie.

– Kilkutygodniowy pobyt przekonał wszystkich – mówi obecny szczepowy phm Marek Fertecki – że akcję można i trzeba dalej prowadzić. Piękne okolice, ciekawa i pożyteczna działalność społeczna, ciepłe przyjęcie u miejscowych ludzi, pomoc władz – to jest to czego potrzeba. Postanowiliśmy jednak, ze względu na zalew i możliwości żeglarskie, zlokalizować obóz kawałek dalej, w Sielpi.

Przez trzy kolejne lata w to właśnie miejsce przyjeżdżali harcerze z „Bobrka" na swe obozy. Coraz ciekawszy był program, coraz lepszy sprzęt, dzięki zrozumieniu i pomocy dyrekcji kopalni i Związku Zawodowego Górników, coraz ciekawsza praca. Na prośbę Muzeum Techniki harcerze konserwowali stare, pracujące tu jeszcze za czasów Staszica, maszyny, traktor parowy, koła wodne (jedno udało im się uruchomić), walec, walcarkę i in.

Podobnie było także tego lata. Blisko 100 harcerzy, w tym niewielka grupka tych, którzy dopiero od września zaczął mieli naukę w szkole górniczej, przybyło do Sielpi, na piątą już Akcję „Staszic". Obozowe igrzyska, manewry techniczno-obronne, regaty żeglarskie, turniej o złotą lampkę górniczą, wycieczki autokarowe do Sandomierza i Starachowic, rajd szlakiem walk partyzanckich, wieczory ballad i poezji Okudżawy – to nieliczne tylko przykłady tego, co działo się na obozie. Działał także jak zwykle punkt zawodoznawczy związany z górnictwem.

Najważniejszym wydarzeniem było jednak zakończenie prac przy samodzielnie zakładanej instalacji elektrycznej – a było co kuć w murach o grubości 1,2 m – w piwnicy i na parterze budynku przeznaczonego na ekspozycję zabytków techniki. Gdy podsumowano pod koniec obozu całą pięcioletnią pracę okazało się, że 572 harcerzy przepracowało blisko 5,5 tys. godzin, a ich roboty przy ochronie i renowacji zabytków techniki wyceniono na 100 tys. zł. Z Muzeum Techniki nadeszło pismo z podziękowaniami za harcerski ***„udział w wielkim dziele chronienia zabytków polskiej sztuki inżynierskiej"***, i prośba o pomoc w następnych latach. Aż 44 harcerzy zdobyło zaszczytną odznakę Harcerskiej Służby Ziemi Kieleckiej „Jodłę".

Gdy jeszcze cicho mówiono na obozie, a potem już głośno w szkole na pierwszych zbiórkach o zakończeniu akcji, zrobiło się wszystkim jakoś nie tak. Niby wszystko w porządku, „Staszic" planowany był na pięć lat, tyle minęło i pora kończyć, ale...

– Chociaż dopiero pierwszy raz byłem na akcji, bo wcześniej jeździłem w Bieszczady – mówi Andrzej Lisiecki – żal mi bardzo, że się kończy. Chciałbym choć jeszcze raz tam pojechać mimo, iż na 28 dni tylko jeden raz się można było opalać. Ale jest to obóz, na którym naprawdę można zrobić coś fajnego. Każdy tam może zobaczyć swoją robotę. Wchodzi na przykład do pomieszczeń, zapala światło i wie, że to dzięki niemu.

Adam Kwarciak wyjechał na obóz jako przyszły uczeń szkoły. Bardzo byłem zdziwiony tym zaproszeniem – mówi – przecież dopiero co złożyłem podanie do szkoły. Ale pojechałem i nie żałuję. Obozu w Złotym Potoku, dokąd jeździłem w szkole podstawowej, nawet nie można porównać z tym, co było w Sielpi.

– To był już mój dziesiąty obóz – dodaje Ryszard Adamiak – ale najlepszy. Zwłaszcza sport, żeglarstwo postawione były na wysokim poziomie. Szkoda, że się akcja kończy.

– Wcale niewykluczone, że nie zdecydujemy się np. na Akcję „Staszic II" – mówi dyrektor szkoły, mgr Tadeusz Szczerbik. Na razie trudno coś konkretnego powiedzieć. Rzecz w tym, że jesteśmy zdani wyłącznie na własne siły. Zapraszamy do nas inne szczepy, mamy przecież kompletny sprzęt, ale jak na razie bez większego powodzenia.

Szkoda, aby ta cenna inicjatywa harcerzy z „Bobrka" miała umrzeć śmiercią naturalną. Na dobrą sprawę nie wiadomo nawet dlaczego. Teren jest, sprzęt również, miejscowe społeczeństwo i Muzeum Techniki nadal na harcerzy czekają. Potrzebne jest tej akcji wsparcie szczepów harcerskic' z całego kraju noszących imię Staszica. Harcerze z „Bobrka" czekają na szybki kontakt. A może również Komenda Katowickiej Chorągwi ZHP zainteresuje się tą propozycją spędzenia wakacji?

„Świat Młodych" gorąco do tego zachęca, bowiem harcerze z Zasadniczej Szkoły Górniczej kopalni „Bobrek" w Bytomiu obiecali zabrać w 1981 roku na obóz laureatów naszego konkursu „Azymut – Węgiel". Oczywiście, o ile pojadą na szóstą Akcję „Staszic".

MARIAN TWARÓG

Wiersze laureatów IV Wakacyjnego Konkursu Poetyckiego

Zgodnie z obietnicą przedstawiam dzisiaj kolejną porcję wierszy nagrodzonych w moim konkursie. O tym, co sądzę o przysłanych przez Was utworach, pisałem obszerniej w 124 numerze „ŚM", w którym zamieściłem też listę laureatów. Pozostałe nagrodzone wiersze poznacie za tydzień.

Julek

ZAMÓWIENIA NA SZCZĘŚCIE

* * *

miałam marzenia
masę marzeń
– tandetny towar
nie do sprzedania
i
wysypałam wszystkie
do kosza
teraz żałuję
bo to były
zamówienia na szczęście

* * *

gromadziłam strzępy szczęścia
przędłam barwne nici
nawijałam na kłębek
jeden drugi trzeci
w końcu
utkałam dywanik
przyszyłam frędzelki przygody
i uleciałam na nim
do krainy baśni

* * *

umiem przenicować szczęście
jak stary garnitur
za każdym razem
gdy chwytam za pióro
i słucham podpowiedzi natchnienia
jak nie przygotowany uczeń

Barbara z Frydmana (lat 16)

MUR

fala naszej miłości
pękła
rozbita na dwoje
przez żelbetonową tamę znudzenia
zgasła
jak przepalona żarówka
trwamy po przeciwnej stronie muru
zbudowanego
z cegieł półuśmiechów
i deszczowej szarości
jadłospisu kochania...

Janusz z Zielonej Góry (lat 15)

* * *

Zatrzymać szczęście, nie dać mu zginąć,
chronić jak ranę przed zakażeniem
– wszystko co po nim pozostaje
przenajwspanialszym jest wspomnieniem!

Cezary z Puław (lat 16)

SZCZĘŚCIE

Szczęście ma bose, brudne nogi,
czasem pechowcom plącze drogi.
W wytartych dżinsach po polach chadza,
na nosie zagra i poprzeszkadza.

Szczęście ma uśmiech zawadiaki,
często z Amorkiem robi draki
– znudzone słucha jak trawa rośnie
i podkochuje się cichcem w wiośnie.

Lubi też stawać z wiatrem w zawody.
Pisze czasami młodzieńcze ody.
Kiedy je spotkasz, jest ci wesoło
– a inni się pukają w czoło!

Maja z Wrocławia (lat 16)

* * *

kojarzy się nam z sukcesem
ze sławą
z przyjemnościami
mówimy tak
kiedy kłopoty rozwiewają się
nim zdążymy je zobaczyć
pragniemy go
gdy coś nam z rąk leci
mówimy że jesteśmy tacy
kiedy śmiejemy się
a przecież
nikt z nas
nie składa darów w ofierze
temu co powoduje naszą radość!
może dlatego
u nikogo z nas
szczęście
nie jest wiecznym gościem?

Juliusz z Warszawy (lat 14)

---

6 czerwca 1973 roku Stadion Śląski wypełnił się do ostatniego miejsca. Mecz reprezentacji Polski ze słynną drużyną Anglii elektryzował od dawna kibiców. Cień niepokoju spowodowany był tylko kontuzją najlepszego polskiego piłkarza, Włodka Lubańskiego. Czy lekarze zdołają doprowadzić Włodka do pełnej sprawności? I czy on sam podejmie ryzyko odnowienia się kontuzji? Te pytania zadawali sobie nie tylko kibice, ale także trenerzy i sami zawodnicy. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, jak wiele znaczy obecność Lubańskiego w drużynie. Spokój, skromność, inteligencja i ogromne umiejętności nieraz decydowały o wyniku meczu.

Mimo swojej piłkarskiej wielkości nie ma w sobie nic z gwiazdy

WŁODEK

Dramat

W tunelu ukazuje się trójka sędziów. Publiczność wstała z miejsc, żeby dojrzeć kapitanów. Nagle stadionem wstrząsa ogromny krzyk entuzjazmu. A więc jednak! Na czele biało-czerwonych idzie Włodzimierz Lubański! Teraz nie możemy przegrać z Anglią, twierdzą kibice. Zaczyna się mecz. Polacy ostro nacierają na bramkę i wkrótce Gadocha zdobywa prowadzenie. Ale Anglicy w futbol grać potrafią i dążą usilnie do wyrównania.

W drugiej połowie piłkę wyprowadza słynny Bobby Moore. Nagle został zaatakowany przez Lubańskiego, który odebrał mu piłkę i pognał na bramkę Shiltona. Wpadł na pole karne i strzelił. Cóż za siła i precyzja! Bramkarz angielski nie miał nic do powiedzenia. Trudno opisać szał radości na stadionie. Lubański znów stał się bohaterem meczu. Który to już raz? Ale mecz się toczy. Włodek gra wspaniale. I nagle jego szarża zostaje zatrzymana przez McFarlanda. Lubański pada na murawę, podbiegają lekarze, za chwilę nosze i karetka.

Dramatyczna cisza przeszywa dreszczem każdego. Nikt wtedy nie przypuszczał, że ta jedna chwila postawi znak zapytania nad dalszą karierą ulubieńca kibiców, mało tego – nad jego zdrowiem i sprawnością w ogóle.

Szpitale, operacje, próby powrotu i stracone nadzieje. Wreszcie Włodek decyduje się na operację w Wiedniu. Akurat wtedy, gdy leżał w austriackiej klinice, jego drużyna wspaniale spisywała się w Mistrzostwach Świata w RFN. Zabieg się udał, nastąpił długi okres rehabilitacji. Tysiące monotonnych ćwiczeń, setki dni spędzonych na pracy z operowaną nogą. Były chwile zwątpienia, ale zawsze przezwyciężał swą słabość. Wreszcie nadszedł uroczysty powrót na boisko. Zagrał pełen obaw. Bał się ponownych komplikacji. A jednak noga wytrzymała! Lubański znów grał i znów zadziwiał świat swą wspaniałą postawą.

Dwa debiuty

Talent Włodka dostrzeżono bardzo wcześnie. Jeszcze jako 15-letni junior wystąpił w reprezentacji Polski juniorów w meczu z ZSRR. Najpierw mądrze prowadzony przez trenera Cicha, a później już zawodnik najlepszej wówczas jedenastki w kraju, Górnika Zabrze, Lubański czynił szybkie postępy. Fachowcy dostrzegli w nim wielki talent, byli przekonani, że wyrasta nam zawodnik, jakiego jeszcze nie mieliśmy.

4 września 1963 roku był świętem dla Lubańskiego. Zadebiutował w pierwszej reprezentacji Polski w meczu z Norwegią. 16-letni chłopak otrzymał szansę, na którą wielu piłkarzy czeka kilka lat. Często bezskutecznie. Wyszedł na boisko stremowany, ale szybko pokazał, że nie jest gorszy od starszych kolegów. Strzelił nawet bramkę w tym wygranym 9:0 meczu.

Od tego momentu rozpoczął się szybki rozwój kariery tego zawodnika. Wiedział doskonale, że sam talent, nie poparty sportowym trybem życia i wytrwałą pracą niewiele znaczy. Dzięki swemu postępowaniu i świetnej grze stał się ulubieńcem kibiców w każdym wieku.

Trzy i pół roku przerwy w występach w reprezentacji po kontuzji odniesionej w meczu z Anglią nie zmniejszyły jego popularności. Mecz z Cyprem w październiku 1976 roku zgromadził na Stadionie X-lecia w Warszawie 50 tys. widzów. Kibiców nie przyciągnął przeciwnik, ale występ ulubionego piłkarza. Włodzimierz Lubański wrócił do reprezentacji Polski. Publiczność przyjęła go jak zwykle serdecznie. Starał się jak mógł, ale nie grał wtedy najlepiej. Kibice byli jednak zadowoleni. Wszak znów mogli obejrzeć Lubańskiego na boisku. Później jednak znów zachwycał swą grą w meczu z Danią i w kilku innych.

Pożegnanie

Treningi kadrowiczów w Bukowinie zawsze obserwowało wielu kibiców. We wtorek tłumek był jednak większy niż zwykle. Już przed hotelem chłopcy z notesami czatowali na zawodników. Szczególnie pilnowali Włodka Lubańskiego. Stale krążyły informacje: już jest, zaraz przyjedzie, samochód już stoi... Wreszcie jest! Natychmiast otoczony gromadą chłopców i mężczyzn. Chętnie rozdawał autografy, gawędził ze swymi małymi sympatykami. Każdy czuł jego wielkość ze względu na skromność i bezpośredniość. Jest to prawda prosta, ale jakże często zapominana przez miernych sportowców. Poprosiłem o chwilę rozmowy. Zgodził się chętnie.

– **20 lat gram już w piłkę** – mówi Lubański. – **Wiele było spotkań, które zapamiętam na zawsze. Debiut w reprezentacji, mecz z Cyprem po kontuzji, ale także finał olimpijski i Mazurek Dąbrowskiego... Tego się nie zapomina. Dziś zdaję sobie sprawę, że gdybym miał dzisiejsze doświadczenie, pewno w niektórych przypadkach postąpiłbym inaczej, ale i tak myślę, że udało mi się wnieść jakiś wkład w naszą piłkę nożną. Osiągnąłem wiele, ale przecież zawsze trzeba stawiać sobie coraz to nowe, trudniejsze cele. Stale trzeba do czegoś dążyć, doskonalić się.**

– Niedługo zakończy pan swą wspaniałą karierę sportową. Pańskich sympatyków interesują plany na przyszłość. Proszę je zdradzić.

– **W piłkę będę grał do końca sezonu. Co potem? Plany mam, ale czytelnicy wybaczą, że zdradzę je nieco później. Jedno jest pewne – ze sportem się nie rozstanę.**

– Zawsze był pan ogromnie popularny. Jak pan zdobywał sobie sympatię ludzi nawet sportem nie interesujących się?

– **To nie zależy tylko ode mnie. Ze swej strony pamiętałem, że jestem jednym z członków konkretnego społeczeństwa. Zawsze starałem się być życzliwy, rozmawiać z ludźmi i ludzi rozumieć.**

24 września 1980 roku jest kolejną, ważną datą w karierze Włodzimierza Lubańskiego. Wtedy to wystąpił po raz ostatni w koszulce z białym orłem. W swym 80-tym meczu strzelił 50 bramkę dla reprezentacji Polski. Kilkadziesiąt tysięcy widzów zgotowało mu serdeczną owację. Tylko wierzyć się nie chce, że w narodowej drużynie nie zobaczymy już piłkarza, który zawsze wzbudzał podziw i sympatię.

MAREK SUCHY

Fot. **Jerzy Mirski, Halina Pindór i CAF**

Kilkadziesiąt tysięcy widzów przybyło na Stadion Śląski, by pożegnać swojego ulubieńca. Na zdjęciu: dwaj koledzy z boiska – Włodek Lubański i Stanisław Terlecki

Włodzimierz Lubański w ostrym starciu z Stepanovicem podczas towarzyskiego meczu Polska-Jugosławia, rozegranego 13 maja 1973 roku na Stadionie X-lecia w Warszawie

1 NR

ŁAPSERDAK

NIEZALEŻNY ORGAN CZYTELNIKÓW POD REDAKCJĄ ZIELONEGO PURCHLA

WIELCE CZCIGODNE ZIELONE PURCHLAKI I WSZYSCY INNI!

Płynąc na fali przemian, dopłynęliśmy, niby do portu – na razie jako jedyni – do własnego organu. Pierwszy numer każdego nowego pisma jest okazją do wygłoszenia kilku okolicznościowych bredni i poczynienia obietnic, których i tak nikt nie ma zamiaru spełnić. Łapię więc i ja tę okazję, oświadczając, iż ŁAPSERDAK ma zamiar zawsze stać na czele oraz realizować niezłomnie. Przy sposobności zaznaczamy, iż nie damy się wziąć na lep. Żadnym podszeptom! Szczególnie wrogim!

Jeśli chodzi o obietnice to niestety, ale ZIELONE LITERY już nam się prawie skończyły – mam jeszcze tylko dwa komplety – a CZARNYCH zaledwie kilkanaście. Tak, że będziemy musieli zacisnąć pasa – zgodnie zresztą z panującą obecnie modą. W każdym numerze ŁAPSERDAKA będę więc nagradzał tylko dwie korespondencje. Dziś przedostatnie ZIELONE otrzymuje **Katarzyna Grześkiewicz**, a CZARNE – ten koszmarny **Wojtek Burak**.

Tym optymistycznym akcentem kończąc, żegnam Was i do następnego ŁAPSERDAKA

Wiadomość z ostatniej chwili!

Po dokładnym obliczeniu CZARNYCH przez zaprzyjaźniony z nami komputer, okazało się, że jest ich około 30 (słownie: trzydziestu) sztuk. Przyszłość najbliższa nie przedstawia się więc tak okropnie czarno, a w dalszej przyszłości być może uda nam się coś pożyczyć na nagrody...

ZIELONY P.

Inicjatywa godna poparcia

NOWE KIEŁKUJE W NOZDRZCU!

Jak nam donosi nasza korespondentka **Elżbieta Bulanda (36–245 NOZDRZEC)** w tamtejszych okolicach pojawiły się zupełnie nowe imiona wprowadzając ogromne zamieszanie, szczególnie w Urzędach Stanu Cywilnego. Uczeni nie potrafią wyjaśnić tej zagadki. No bo skąd, naglę, nie stąd nizowąd: **LATOMIR, WIOSNOSŁAW, STOKROTTA, SŁOŃCEUSZ, MILIANNA, WIERZBIOR, BRZOZETTA, DALLINA, LIPULA, DĘBIMIERZ, GWIAZDOSŁAWA, DESZCZENTY, PURCHLOMIR?**

Ostatnie imię wydaje się redakcji ŁAPSERDAKA zdecydowanie najbardziej godne poparcia. Kto jest przeciw? Nie widać...

Z teki szyfranta

SAM NA SAM Z PALNIKIEM GAZOWYM PRZY AKOMPANIAMENCIE KROPEK I KRESEK

Pomysłowość moich korespondentów nie zna granic. Świadczy o tym choćby list **Urszuli Kowalczyk (01-205 RZĄŚNIK)** pisany na tekturce i podobno tzw. atramentem sympatycznym. Dostałem polecenie aby wywołać go działaniem wysokiej temperatury. No więc zapaliłem gaz i po pół godzinie cały ŁAPSERDAK był pełen dymu, z oczu ciekły mi łzy, kichałem raz po raz – a na liście przesuwanym nad płomieniem nic się nie ukazało!

Tylko mój piękny biały krawat, noszony zawsze w poniedziałki na cześć rodzącego się tygodnia – nabrał koloru Coca-Coli...

W zasadzie nie przepadam za tego rodzaju zajęciami. Tym bardziej, że wszystkie wolne chwile poświęcać muszę na poszukiwania takiego mądrali, który by potrafił odczytać list, jaki napisał do mnie **Wojtek Burak z DĄBROWY TARNOWSKIEJ**. A mianowicie składający się wyłącznie z kropek i kresek, długi na pół kilometra.

Jak z tego widać nie mogę się uskarżać na brak zajęć, już Wy się o to postaracie, moje robaczki...

P.S. Powiadacie, że taki list powinien łatwo być odcyfrowany przez kogoś z redakcji „Świata Młodych"? Ciekawe jakim cudem w gazecie harcerskiej miałby się znaleźć specjalista od alfabetu Morse'a? Oni teraz na zbiórkach pisują sprawozdania i referaty...

DO ROBOTY!

W tym kąciku będziemy sobie bez ograniczeń zamieszczali opisy genialnych wynalazców, do tego stopnia wyprzedzających epokę, iż bez naszej pomocy nigdy nie ujrzałyby one światła dziennego. Mamy nadzieję, że historia to doceni i zapuka kiedyś do naszych drzwi, żeby nam podziękować. Tylko nie wiadomo czy zastanie nas wtedy w domu, albo czy zechce się nam otworzyć... (Ziel. P.)

HIT Z KITU

a jeszcze lepiej z mąki i wody upieczony domowym sposobem. A więc najpierw ciasto wałkujemy (na kształt owalny), następnie zaś robimy w nim rowki – które przecież powinny być w każdej szanującej się płycie. Po upieczeniu zakładamy ją na adapter i patrząc jak się kręci, nucimy sobie dowolnie długo co nam się podoba. Aby nasz wyrób utrwalić, wkładamy go pod prasę hydrauliczną. Ostatecznie może być wczorajsza...

Jerzy Cibor
34–120 ANDRYCHÓW

Nie tylko dla łysych?

III PROGRAM TV NA NIEDZIELĘ

...tylko nie wiem którą, ale czy to takie ważne? Jeśli jest program to i niedziela się znajdzie!

7.10 Zapowiedź programu na niedzielę,
7.25 **STUDIO SPORT**, a w nim: rzut w przód, dysk w pysk, skok w bok,
8.30 Piosenki piosenkarzy
9.00 **TELERANEK** – Filmy: „Napad bandziorów na sklep pomidorów" „Łysy z drągiem za pociągiem" i „Szczerbaty wygryzł kraty".
10.20 Dziennik Telewizji Brytyjskiej
10.50 **SPRAWY CODZIENNE:** pogadanka pt. „Czy można obyć się bez dentysty?"
11.00 Orkiestra symfoniczna PR i TV gra na nerwach
13.40 Tylko w dni powszednie!
15.10 **GODZINA PRZEDSZKOLAKÓW:** Film kukiełkowy USA: „Przeprawa Indian przez kałużę"
16.10 Losowanie średniego lotka
16.25 Piosenka na uspokojenie
16.30 Gra w salonowca część I
16.40 Piosenka na uspokojenie
16.45 Radzimy rolnikom i mieszczanom
17.20 Gra w salonowca część II
17.30 „Jak zalecać się do dziewczyny" film instruktażowy
18.30 Piosenka na uspokojenie
18.35 **TEATR POPOŁUDNIOWY:** „Łysy u fryzjera" tragedia produkcji polskiej. Występują aktorzy.
19.25 Dobranoc dla dorosłych
19.30 Dziennik Telewizji Norweskiej
20.15 Western Telewizji Monako: „Napad łysych gangsterów na fabrykę grzebieni"
21.30 Gra w salonowca część III
21.40 Piosenka na uspokojenie
21.45 Dobranoc dla najmłodszych
23.20 Zakończenie programu

Dobrego odbioru życzy!

– Katarzyna Grześkowiak, 13-300 NOWE MIASTO.

Dowcipy bez piątej klepki

– Czym się różni pociąg od cegły?
– Tym, że się nim nie można uczesać...

*

– O jakie ładne wróbelki!
– Tak, ale ten z lewej ma jedną nogę bardziej niż drugą.

Maciej Tabor
32–720 NOWY WIŚNICZ

Już wkrótce:

- Epilog sporu o „Macierzankę"
- Dalsze wynalazki
- Korespondenci nieco stuknięci
- Menażeria spod ciemnej gwiazdy
- I w ogóle same rewelacje!

CZYTELNICY PISZĄ CO IM SIĘ PODOBA ŁAPSERDAK DRUKUJE!

CZY SERGIUSZ JEST ZWYCZAJNYM CHŁOPCEM?

W życiu dwunastoletniego ucznia Sergiusza Gutnikowa zaszły wiosną tego roku trzy ważne wydarzenia. Na konferencji naukowej w Państwowym Instytucie Medycznym we Władywostoku wygłosił referat o oddziaływaniu na organizmy preparatów z wodorostów morskich *Ahnfeltii*. Instytut Chemii Dalekowschodniego Ośrodka Naukowego AN ZSRR opublikował artykuł o możliwościach otrzymania hormonu tarczycy z tych wodorostów, którego współautorem był Sergiusz Gutnikow, a na miejskim konkursie prac studenckich za jedno z jego badań przyznano mu trzecie miejsce!

Już od półtora roku Sergiusz w czasie wolnym chodzi na zajęcia kół młodego medyka i młodego biologa działających przy katedrach Instytutu Medycyny i Uniwersytetu. Celem tych kół jest pomoc absolwentom szkół w wyborze zawodu i wyrobienie w nich zamiłowania do pracy badawczej. Wraz ze studentami i uczniami klas starszych szkół władywostockich Sergiusz Gutnikow uczestniczy w doświadczeniach, opracowuje statystykę ich wyników i przeprowadza nawet operacje na zwierzętach doświadczalnych.

– *Serioża nie jest cudownym dzieckiem, chociaż pozornie tak się może wydawać* – mówi prof. Mira Mieszczerska prowadząca zajęcia w kole młodego medyka.

– *Wcześnie nauczył się czytać, ale do szkoły poszedł w wieku siedmiu lat, jak wszystkie dzieci, z tą jednak różnicą, że od razu do czwartej klasy. Oczywiście, już to jest trochę niezwykłe. Ale proszę mi wierzyć, Sergiusz jest zwyczajnym chłopcem, nie ma wcale najbłyskotliwszej pamięci i najszybszej reakcji w porównaniu z rówieśnikami. Od innych odróżnia go wielkie zamiłowanie do nauki, wytrwałość i upór w dążeniu do celu. Wszystko to zdecydowało o jego sukcesie i – jeśli pan to tak określa – niezwykłości. Poza tym jest jeszcze dzieckiem, lubi się bawić ze swymi rówieśnikami z szóstej klasy, chociaż jest już uczniem dziesiątej...*

EUGENIUSZ BUGAJENKO
(Kraj Rad)

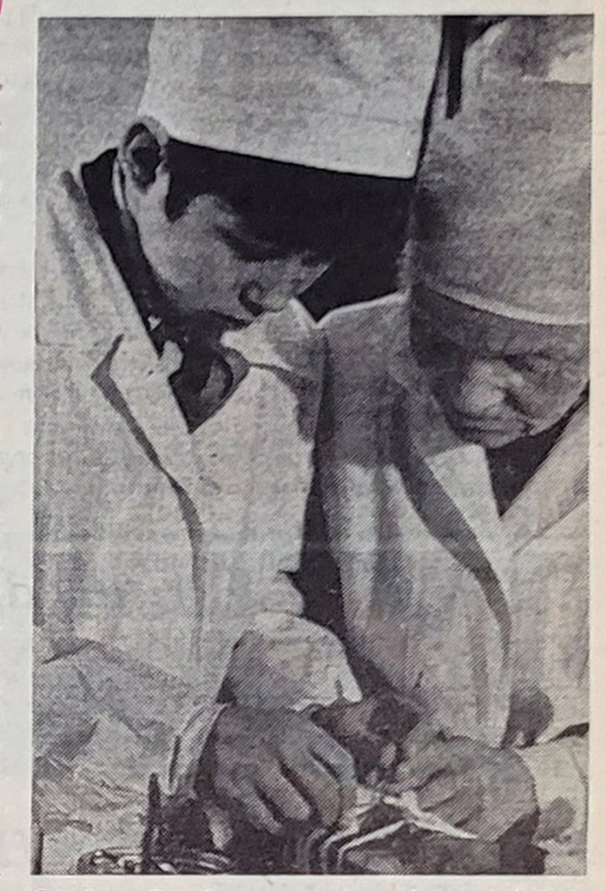

Sergiusz Gutnikow operuje zwierzę doświadczalne pod kierunkiem prof. Miry Mieszczerskiej
Fot. **N. Nazarow**

Dręczyciele zwierząt

Na naszym i innych podwórkach są chłopcy, którzy regularnie męczą zwierzęta. Łapią koty i psy, ciągną je za ogon, kopią, strzelają do ptaków z procy. Dla mnie i mojej koleżanki jest to strasznie bolesne, ponieważ obie kochamy zwierzęta. Boimy się zwrócić im uwagę, ponieważ są starsi i potwornie zadziorni. Może ten list da im trochę do myślenia i zmienią swoje postępowanie?

Kasia i Renata

„Trzy grosze" o gazecie

Chciałam wtrącić swoje „trzy grosze" w sprawie krytykowania „Świata Młodych". Moim zdaniem „Świat Młodych" jest świetną gazetą, ale tylko w części. Mnie osobiście podobają się bardzo: komiksy, „Abrakadabra", „Gwiazdozbiór", oraz „Redakcyjna Poczta". Oprócz wymienionych pozycji rzadko znajduję coś dla siebie. Bardzo mi się podobały te „Światy Młodych", których autorami była sama młodzież. Myślę, że był to świetny pomysł i warto by było go powtórzyć. A może nie tylko ja tak myślę?

Gośka

Anna i Agnieszka Szynusik, ul. Lotnicza 74/84, 31-462 Kraków (bliźniaczki po 14 lat) – posiadają spory zbiór kartek z końmi, interesują się jeździectwem. Czekają na listy od osób o podobnych zainteresowaniach.

Pomysł na ciekawą prywatkę

Często słyszy się, że organizatorzy prywatek nie mają ciekawych pomysłów na ich urządzenie. Istnieje wśród młodzieży błędne przekonanie, iż prywatka bez alkoholu i papierosów jest nic nie warta. Na prywatce urządzonej przeze mnie nie było palących, ani pijących, a prywatka była naprawdę udana. Zaprosiłam 15 osób. Godz. 16.00 – powitalny podwieczorek (ciastka, lody). „Posilone" towarzystwo przystąpiło do konkursu na najśmieszniejszą anegdotkę. Na zwycięzców czekała nagroda – wisiorki na rzemyku, ufundowane przez wszystkich uczestników. Chwila oddechu i nagrana na taśmy muzyka w wykonaniu zespołów porwała nas do tańca. Wytańczeni usiedliśmy przy świecach do następnego posiłku (kawa, frytki). Potem znów tańce i kulminacyjny punkt całego spotkania – konkurs na najśmieszniejszy strój par. Każda para już wcześniej go przygotowała. Nikt jednak nie wiedział, iż zwycięzcy będą musieli wspólnie zaśpiewać piosenkę, która tematycznie pasowałaby do ich wybranego stroju. Głośny śmiech nie miał granic, gdy okazało się, iż laureaci nie posiadają ani słuchu, ani głosu. Śpiewali jednak wytrwale. Po tym „znakomitym" występie znów taniec i pożegnalny biały walc. Prywatka była składkowa. Ja jako dobra gospodyni (zaoszczędziłam trochę na kuchni) przy pożegnaniu wręczyłam każdemu książkę pt. „Gry i zabawy". Można w niej znaleźć wiele ciekawych pomysłów na urządzenie różnego rodzaju spotkań. Napisałam ten list, bo chciałabym, aby wszyscy organizatorzy i uczestnicy prywatek byli z nich w pełni zadowoleni.

Arleta

Klub „Delfin" szuka przyjaciół

Założyliśmy klub „Delfin". Wybrano mnie szefem i uzgodniliśmy, że będziemy korespondować. Piszę, więc w imieniu klubu, że interesujemy się fauną i florą mórz i zbiorników słodkowodnych, posiadamy różne eksponaty i fotografie, prowadzimy sekcję astronomiczną. Bardzo chcielibyśmy nawiązać kontakt z osobami o podobnych zainteresowaniach.

Adres szefa i pisarza:
Sławomir Tuław
ul. R. Luksemburg 6/1
61-417 Poznań

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Już w dzisiejszym numerze rozpoczynamy rywalizację o zdobycie odznaki

MOTOEKSPERT „ŚWIATA MŁODYCH"

MOTOEKSPERT Świata Młodych

Nasz kącik motoryzacyjny jaki drukujemy w każdy czwartek, prowadzimy już od 5 lat. W ponad 200 publikacjach przekazaliśmy więc bardzo dużo informacji związanych z zagadnieniami motoryzacji.

Myślę, że nadszedł już czas abyście mogli sprawdzić zdobyte wiadomości. Jak zresztą wynika z Waszej bogatej korespondencji, zdobywacie je nie tylko ze „Świata Młodych", lecz także z innych źródeł, o które w bardzo przedsiębiorczy sposób się staracie.

W związku z tym raz w miesiącu postanowiłem ogłaszać konkurs, dotyczący wiadomości zdobytych głównie w wyniku lektury naszego kącika. Z nadesłanych trafnych odpowiedzi będziemy wybierali i nagradzali pięć zawierających najbardziej szczegółowe informacje, zwłaszcza, gdy będą poszerzone dodatkowymi danymi lub też specjalnym opracowaniem graficznym. Te pięć odpowiedzi będziemy nagradzali znaczkiem, którego reprodukcję zamieszczamy obok. A więc...

Na załączonych ilustracjach przedstawione zostały samochody produkowane w jednym z państw sąsiadujących z Polską. Napisz w jakim państwie są one wytwarzane i co wiesz o przemyśle motoryzacyjnym tego kraju?

Odpowiedzi przesyłajcie na mój adres, który ma następujące brzmienie:

ZENON DUTKIEWICZ
ul. Guliwera 2
60-193 POZNAŃ

(Adres ten podaję w tak szczegółowy sposób, gdyż prosząc Was o propozycje dotyczące kącika motorynki, otrzymuję listy, w których zamiast nazwiska figuruje albo nazwa zakładów rowerowych, albo marka motorynki, lub też tylko sama nazwa ulicy i miejscowości).

Odpowiedzi należy przysyłać w terminie 7 dni od daty ukazania się pytań konkursowych. O zakwalifikowaniu ich do udziału w konkursie decyduje data stempla pocztowego. Tak więc odpowiedzi na dzisiejsze pytania konkursowe powinny nosić na pieczątce poczty ostateczną datę 6 listopada 1980 r. **Odpowiedzi z datą późniejszą nie będą uwzględniane.**

Lista laureatów uhonorowanych znaczkami, jak również prawidłowe odpowiedzi zostaną opublikowane za miesiąc, a więc w tym numerze, w którym zostanie ogłoszony następny konkurs.

ZENON DUTKIEWICZ

Akwarium dla każdego (2)

Oto już drugi odcinek naszego kącika miłośników akwarium. Przypominam w pierwszym odcinku („Ś. M." nr 121) przedstawiłem, czym się będziemy zajmowali oraz opisałem, jak przygotować najprostsze i najmniejsze akwarium dla gupików. Dziś – ciąg dalszy.

PIERWSZE RYBKI – PIERWSZE TROSKI

Po dziesięciu dniach – do dwóch tygodni od zasadzenia roślin i wlania wody, nawet niewprawne oko zauważy, że w naszym miniakwarium – choć nie ma w nim jeszcze rybek – rozwija się jednak życie: rośliny ukorzeniły się i wypuszczają pierwsze odrosty, woda stała się bardziej klarowna z leciutko żółtawym odcieniem. To dobrze; znak, że można wpuszczać gupiki, które przedstawiłem w poprzednim odcinku.

Jeżeli będziecie kupowali gupiki w sklepie akwaryjnym, wybierzcie dwa najbardziej kolorowe, najładniejsze samczyki i średniej wielkości samiczkę. W Warszawie niebrzydkie gupiki z fantazyjnie rozwiniętą płetwą ogonową kosztują od 20 zł wzwyż za sztukę. Ale u prywatnych hodowców-amatorów można je kupić na pewno taniej, a u znajomych akwariarzy – otrzymać w prezencie. Uważajcie: rybki muszą być zdrowe i żwawe, nie mieć posklejanych płetw, żadnych pleśniowatych nalotów na ciele. Ta ostatnia uwaga odnosi się zresztą do wszystkich nabywanych rybek.

Najłatwiej i najbezpieczniej przenosić rybki w plastikowym woreczku z wodą z ich macierzystego akwarium. Jeśli na dworze jest chłodno, trzeba torebkę foliową owinąć jakimś dobrze izolującym materiałem (np. szalikiem, swetrem) i przenosić cały ładunek w teczce.

Po przyniesieniu rybek do domu nie wpuszczamy ich do razu do akwarium, ale wkładamy do niego razem z woreczkiem, by stopniowo wyrównała się temperatura między wodą przyniesioną z rybami, a tą w naszym miniakwarium. Uprzednio mierzona przez kilka dni temperatura wody zbiornika ustalona jest na poziomie 20–22°C. Po kilkunastu minutach bardzo ostrożnie wylewamy rybki – wraz z wodą – z woreczka do akwarium. I oto – mamy w akwarium pierwsze rybki. Ale też zaczną się pierwsze troski...

Bo rybki trzeba karmić. Pokarm dla gupików i innych ryb akwaryjnych możemy kupować (co kosztuje sporo) lub samodzielnie łowić (co nic nie kosztuje). Gupiki np. bardzo chętnie jedzą żywe larwy komarów, drobne rozwielitki, które w stojących zbiornikach wodnych możemy łowić siatką z pończochy. Jako pokarmu awaryjnego lub dawanego na zmianę z żywym, używamy suszonych dafni i sztucznego pokarmu typu „vavil", które bez trudu można kupić w każdym sklepie akwaryjnym. Warto od czasu do czasu kupić rybkom rurecznika (*Tubifeksu*) i karmić nim po pocięciu na drobniejsze kawałki. W każdym razie – przestawienie gupików na karmienie wyłącznie pokarmem sztucznym, lub suszonym nie rokuje wielkich efektów hodowlanych. Raz na tydzień – dajemy rybkom „dzień wolny" od jedzenia, a w pozostałe karmimy tylko tyle, by pokarm został zjedzony i nie zostawał na dnie.

Samiczka gupika wydaje na świat małe przez cały rok – 10 do 50 sztuk co 4–5 tygodni. Gupiki są jajożyworodne – małe przychodzą na świat żywe i dość duże: mają 5–8 mm długości. Dobrze jest w tym czasie wrzucić do akwarium nieco wgłębki wodnej (*Riccia fluitans* L.): jest to roślina pływająca, tworząca zielony dywan pod powierzchnią akwarium – doskonałą kryjówkę dla świeżo urodzonych rybek. Bo – uwaga! – gupiki chętnie zjadają swoje młode tak, jak postępują w tym względzie również inne ryby. Młode gupiki rosną szybko; w odpowiednich warunkach (temperatura, karmienie, światło) już po 1,5 – 2 miesięcy u samczyków pojawiają się kolorowe plamy. Całkowicie jednak uformowane i wybarwione są w wieku 1 roku.

Za dwa tygodnie – odpowiadam na listy!

D. MALABARSKI

Kardynałek Chiński

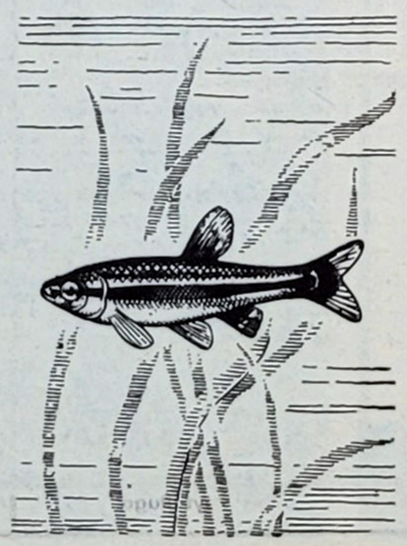

KARDYNAŁEK CHIŃSKI (*Tanichthys albonubes* Lin). Mała (do 4 cm), ale bardzo wytrzymała i odporna, ładnie ubarwiona rybka. Jajorodna, młode wylęgają się w ok. 48 godzin od złożenia ikry. Temperatura wody 16–22°C, zimą nawet 16–18°C, odpada więc konieczność dodatkowego ogrzewania. Można trzymać stadko 6–8 sztuk w niewielkim nawet akwarium. Kardynałek je chętnie pokarm zarówno żywy, jak i sztuczny.

Klubowi obserwatorzy meldują o:

● NIEZWYKŁYM ZDARZENIU Z SOWĄ I JASTRZĘBIEM ● TOKACH I POLOWANIACH MYSZOŁOWÓW ● I NIE TYLKO...

Na początek – dość osobliwa wiadomość. Piszą **Leszek i Dariusz Łopuszyńscy z Niwnic** w woj. jeleniogórskim: „*Na wiosnę tego roku we wsi, gdzie mieszkamy, w starej PGR-owskiej stodole znaleźliśmy bardzo małą, nieżywą sowę... Nasz znajomy wyprawił ją i obecnie znajduje się u nas w domu jako nasze największe trofeum...*" Po czym nasi korespondenci podają wymiary ptaka (ale nie piszą – świeżo znalezionego czy wypchanego) i uznają go za sóweczkę. Otóż wymiary te rzeczywiście na sóweczkę wskazują, za wyjątkiem długości skrzydła (15,7 cm), typową dla pójdźki. Pod koniec listu autorzy dodają, że znaleźli tę sowę zczepioną szponami z również martwym gołębiarzem! Wiadomość rzeczywiście dość niezwykła. Co do sowy – byłbym prawie pewien, że to jednak nie rzadka sóweczka, lecz pospolitsza pójdźka. Tylko tę drugą można bowiem spotkać w pobliżu zabudowań i z dala od lasu. Chociaż... Niedawno dowiedziałem się, że widziano sóweczkę tuż pod Warszawą na odległych od wszelkich lasów stawach rybnych – wiadomość ta została potwierdzona przez Komisję Faunistyczną PTZod. To dowód, że nawet tak rzadkie i normalnie osiadłe w głębi puszcz ptaki, jak sóweczka, można spotkać w nietypowych miejscach – dlatego też z ostrożnością odnoszę do listu Leszka i Dariusza. Najlepiej byłoby gdybyście sfotografowali zarówno wypchaną sowę, jaki i owego jastrzębia, o ile ten jeszcze się ostał i przysłali nam wyraźne zdjęcia. To pomogłoby wydatnie w rozkwikłaniu zagadki. Widziany przez was żółtodzioby łabędź, który nie posiadał charakterystycznego guza nad dziobem, – to zapewne łabędź krzykliwy, dużo rzadszy od niemego. Cały Wasz opis wskazuje, że chodzi tu o tego pojawiającego się dość regularnie na naszych wodach ptaka.

Artur Juszczyk z Pacanówki, w woj. tarnobrzeskim widział dudka w lesie, z dala od wszelkich polan. „*Dudek* – pisze Artur – *zaniepokojony moją obecnością, zaczął wydawać charakterystyczny dla niego głos „dudut, dudut". Po chwili usłyszałem jakby odpowiedź drugiego dudka, który był gdzieś w pobliżu*" W taki sposób, „nawołując się" nawzajem, tokują dudki przed rozpoczęciem lęgu. Możliwe więc, że – zgodnie z tym, co sądzi nasz czytelnik – zamierzały się zagnieździć w tym niezbyt typowym dla nich leśnym zakątku, korzystając np. z jakiegoś stosu drzewa.

Dalej Artur pisze o tym, jak to jaskółki z furią atakowały pustułkę: „*nie mogłem uwierzyć, że potrafią się tak bronić przed wrogiem...*" Trudno wprawdzie uznać pustułkę za wroga jaskółek, gdyż łowi ona tylko gryzonie i owady, ale jaskółki nie omieszkają w ten sposób zaczepiać i groźnego dla nich kobuza, a także wszelkie inne skrzydlate drapieżniki. Jest to bardzo typowe dla nich zachowanie.

„*Moim następnym bohaterem jest myszołów. Pewnego jesiennego poranka zobaczyłem go polującego nad łąkami. Jedno było dla mnie dziwne: myszołów polował jak pustułka, tzn. zawisł w powietrzu. Wiedziałem, że myszołowy tak robią, ale bardzo rzadko...*" Rodzime myszołowy zwyczajne – rzeczywiście rzadko, za to bardzo często tak polują myszołowy włochate, przylatujący do nas licznie jesienną porą mieszkańcy dalekiej północy. Można więc sądzić, że to właśnie łowy tego zimującego u nas drapieżcy widział Artur. Natomiast nasz myszołów zwyczajny poluje głównie z „nasiadki", czatując na kołku, samotnym drzewie albo stogu.

Ryszard Gil ze Stawisk k/Strzegomia opisał myszołowie toki: „... *wzbijały się wysoko w powietrze i składając skrzydła do siebie spadały jak kamienie*". Tak to właśnie wygląda, często biorą w tym udział trzy ptaki (co też Ryszard zaobserwował i wspomniał o tym w liście), czasem dwie pary. W podobny sposób tokują orliki krzykliwe. Gwałtowne wznoszenie się i pikowanie w dół jest też typowe dla lotów godowych błotniaka łąkowego.

Ryszard opisał szczegółowo w swym liście obserwacje z dwóch gniazd myszołowa. Do listu tego jeszcze wrócimy, zwłaszcza, że życie tego gatunku pasjonuje wielu naszych czytelników. Gatunku niezmiernie pożytecznego i chronionego – prawnie, co nie zawsze znaczy: chronionego w praktyce. Wszakże i Ryszard pisze, że młode w jednym z obserwowanych przezeń gniazd zostały zabite.

Niebawem kolejne – zarówno smutne, jak i niesmutne – wieści o skrzydlatych drapieżnikach...

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. autora

Myszołów ▶ zgodnie z tym, na co wskazuje nazwa – łowi głównie gryzonie, ale nie gardzi i żabami, które zwłaszcza w wilgotnych okolicach stanowią pokaźną część jego jadłospisu

W walce z marnotrawstwem

FOTOKOMÓRKI NA SCHODACH

WROCŁAW (PAP). Wiele energii elektrycznej marnotrawi się przez zbędne oświetlenie klatek schodowych w ciągu dnia. Aby takiej sytuacji skutecznie przeciwdziałać, Dzielnicowy Zarząd Budynków Mieszkalnych – Śródmieście we Wrocławiu zakupił pierwszą partię – 200 sztuk specjalnych wyłączników. W ciemności włączają one światło, za dnia – wyłączają. Wyłączniki działają podobnie jak uliczne automaty, regulujące też na zasadzie fotokomórki uruchamianie lub wyłączanie oświetlenia ulicznego. **(kl)**

Ważył ponad 16 kg!
Był słodki
i smaczny,
jak owoce
z Południa...

ARBUZ-GIGANT NA SYBERII!!!

ZSRR (PAP). W malutkiej osadzie Pietuszki, położonej nad brzegami Oceanu Lodowatego, doszło do prawdziwej sensacji. W miejscowej szklarni, pod skąpymi promieniami podbiegunowego słońca, wyhodowano tu prawdziwy arbuz-gigant, w dodatku taki smaczny i słodki jak owoce z super-słonecznego Uzbekistanu.

A tak nawiasem – w okolicach osady Pietuszka lato trwa tylko 2 miesiące, a ponad 100 dni – polarna noc... **(kl)**

NIE ZAWSZE PAJĄK SZCZĘŚCIE CI DA...

WIELKA BRYTANIA (PAP). Uważa się powszechnie, że przynoszą szczęście. Okazuje się, że nie każdemu. Młodej Angielce z Bristolu pająk przyniósł wyraźnego pecha. Prowadziła ona samochód ulicami miasta, gdy nagle poczuła „coś" łażącego po twarzy. Straciła ze strachu panowanie nad kierownicą. Efektem tej nieproszonej pajęczej wizyty – rozbity o słup samochód i zmiażdżone... ucho dziewczyny. Trudno tu mówić o szczęściu... **(kl)**

Autorką mego portretu jest **Kasia Reichel**. Zapisuję ją do mojego klubu.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

– *Kochaniuteńki Rzepeńku!!!* – pisze Ewa Kędzierska, którą wpisuję na listę Rzepklubu – *właściwie nie mam Ci nic do napisania, ale chcę, żeby mój list do Ciebie był bardzo, bardzo, bardzo, bardzo, bardzo, bardzo, bardzo, bardzo, bardzo...* (tych „bardzo" jest w liście Ewy 435!) .. *bardzo długi!* List Ewy jest rzeczywiście długi, bo ma 80 cm na jednej i tyle samo na drugiej stronie kartki sklejonej z wielu części. A to rysunek, który Ewa wyszperała dla Was:

ANEGDOTKI NADESŁANE

– A teraz, dzieci siedźcie tak cichutko, żeby było słychać przelatującą muchę...
– .....
– No, kiedy puści pan tę muchę, panie profesorze?

*

– Chciałbym kupić materiał na ubranie w kolorze kawy ze śmietanką.
– Z cukrem, czy bez?..

*

W teatrze:
– Panie, nie chrap pan tak głośno, bo obudzi pan całą publiczność!

*

Kawałek mydła do drugiego:
– Schudł pan ostatnio. Jak pan to robi?
– Biorę codziennie kąpiel...

*

Anegdotki nadesłali: **Beata Sinkowska Piotr Sieradzki**, których zapisuję do Rzepklubu.

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

miniplakat

RZEPKLUB

Żart rysunkowy o kroplach na katar wyszperał Darek Małyska a żart o słoniu rysował Marcin Raczyński. Obydwaj są członkami klubu.

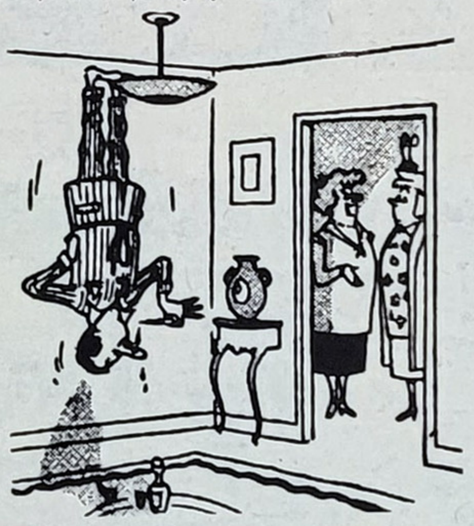

— Robi tak za każdym razem kiedy zakrapia krople na katar

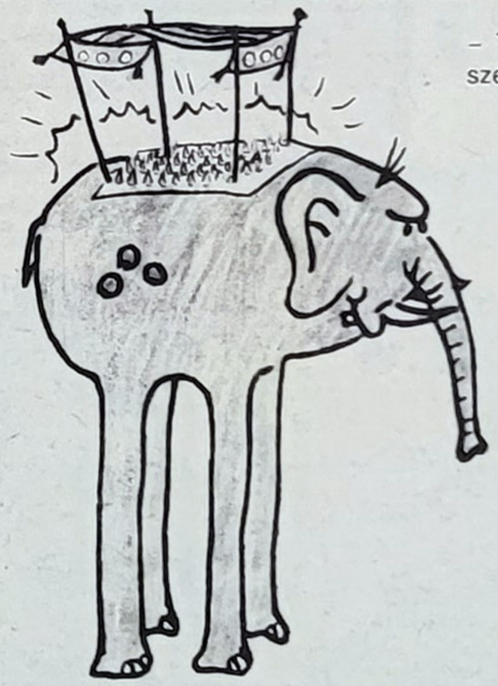

– To jest specjalny słoń dla naszego fakira...

– Troszkę – mruknął. – Nie podchodź. Wynoś się najlepiej.

– Zaraz – powiedziała łagodnie Ida. – No... a co ci dolega?

Chwila ciszy. Ida nagle poczerwieniała. „Teraz mnie wyrzuci przez okno" – pomyślała.

– Nie wiem – przemówił nagle Krzysio. Jego głos był bezradny i spłoszony.

– To na pewno grypa – stwierdziła Ida podchwytliwie

– Nie, to na pewno nie grypa – burknął on.

– No to co wobec tego?

– Przecież ci mówiłem, że nie wiem.

– Ja też choruję – oznajmiła Ida dla towarzystwa. – Podejrzewam, że mam anemię, alergię i reumatyzn. Aha, i nerwicę serca.

Podeszła do lusterka, wiszącego nad biurkiem i obejrzała sobie gardło.

– I anginę – dodała.

Na biurku stały dwie buteleczki z takim samym lekarstwem, którego mama Borejko używała w chwilach szczególnie ciężkiej bezsenności. Aż dwie butelki! Po co mu tyle? – pomyślała Ida i zdjął ją nagły lęk.

Odwróciła się gwałtownie.

Krzysio siedział apatycznie w rogu tapczana i wciskał twarz w ten swój szalik. Całą twarz.

– Idź sobie – powiedział niewyraźnie.

– Dobra, dobra, już lecę – powiedziała Ida swobodnie i małpim ruchem ręki wyciągniętej w tył złapała dwie buteleczki naraz.

– Ale ty naprawdę nie jesteś gościnny – ciągnęła, wciskając je do kieszeni prochowca. – Tyle mam kłopotów, a ty mnie wyrzucasz.

– Kłopotów? – spytał Krzysio głosem bez wyrazu i spojrzał na Idę znad szalika.

– Uhm – powiedziała Ida wyjmując rękę z kieszeni. No. Już. W porządku.

– Jakich kłopotów?

– Przede wszystkim – zaczęła Ida – umieram z głodu. Nie jadłam obiadu od... zaraz... od pięciu dni. Jestem bez grosza, stary, bo zwiałam od rodziców. Nie miałbyś przypadkiem czego do zjedzenia?

– Oj – przejął się Krzysio i poruszył się na tapczanie. – Mam, oczywiście, że mam... Od pięciu dni nie jadłaś?...

– Obiadu – prawdomównie uzupełniła Ida.

– Tu mam jakieś ciastka, ale stare. Czekaj, ty na pewno wolałabyś coś ciepłego... Mógłbym zorganizować obiad.

– Zorganizuj – zgodziła się Ida. A to się Basia ucieszy! Atletyczny Krzysio nie wyglądał co prawda na zagłodzonego, widać nieźle podjadał sobie w nocy, kiedy wychodził ze swego pokoju. Żeby tylko Basia okazała dość rozsądku i nie wpakowała się z tacą do pokoju! Ale to już zmartwienie pana Paszkieta.

Wszystko poszło jak z płatka. Zawołana przez drzwi Basia odezwała się tak szybko, jakby rzeczywiście czatowała po drugiej stronie z uchem przy dziurce od klucza. Przyniosła obiad po krótkiej chwili; pewnie trzymała garnki na ogniu, żeby Krzysio się nie rozmyślił, czekając zbyt długo.

– Jesteś jedynakiem, co? – spytała Ida.

Krzysio skinął głową i zawołał przez drzwi, żeby Basia postawiła tacę na podłodze i wyszła z gabinetu.

– Wiesz co, stary, u mnie w domu podobne numery by nie przeszły – oświadczyła Ida, słysząc jak staruszka posłusznie odchodzi, nie ofuknąwszy młodego osiłka za jego wielkopańskie żądania.

– Odwróć się – zażądał Krzysio zamiast odpowiedzi.

Żeby podnieść tacę i umieścić ją na swoim biurku, musiał zrezygnować z zakrywania się szalikiem. Ida nie śmiała spojrzeć na biedaka w tej sytuacji, choć ciekawość, co on tam ukrywa, omal nie zwyciężyła w niej poczucia taktu.

– No, proszę cię – powiedział Krzysio zadowolonym głosem. – Siadaj, ja tylko zamknę drzwi.

Ida usiadła przy biurku.

I w tym momencie coś ją złapało za gardło. Ujrzała twarz Krzysia, który po przekręceniu klucza w drzwiach, wracał teraz do biurka, nie pamiętając o tym, że odsłonił twarz.

Była to twarz strasznie brzydka i w dodatku żałośnie zdeformowana. Gruby, rozdęty policzek obciągał w dół kącik ust. Od szczytu policzka aż do skroni szerzyła się podobna, guzowata wypukłość, zachodząca na oczodół. Krzysio był naprawdę odrażający.

Ida poczuła, że ją mdli. W głowie jej zawirowało, jakby miała zemdleć.

Cdn.

Tytus, Romek i Atomek 9

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

*Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Was

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 6825/G O–32

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

w następnym numerze (we wtorek):

- Nie jest to żadna sensacja. Ot, przypadek, jakich wiele w życiu szkolnym, gdzie – jak zresztą wszędzie – bez konfliktów obyć się nie może. Bohaterami są: VIII b, jej wychowawczyni i nauczycielka matematyki jednej ze szczecińskich szkół.
- Wraz z Anną Mieszczanek wybierzemy się na stare, warszawskie Powązki, w miejsce, gdzie groby zapisały dzieje naszego narodu.
- Nasz reporterski rajd po warszawskich harcówkach.

Małgorzata Musierowicz

IDA SIERPNIOWA

13

– Z przeproszeniem, ten facet wygląda jakoś głupawo – zauważył Krzysio.

– No, nie, nie pozwalaj sobie! – rzuciła się Ida.

– Wybacz, ale to ty sobie pozwalasz. Wlazłaś mi tu przez okno i robisz fochy.

– Fochy?

– Tak jest. Fochy.

– O, już jest! – syknęła Ida, nie słuchając Krzysia więcej. Przykleiła się na powrót do szpary w zasłonie.

Krzysio też wyjrzał.

– No, nie! – mruknął.

Wspaniała sylwetka Pauliny płynnie oddalała się w stronę ulicy Roosevelta, a Klaudiusz dreptał o pięć metrów za nią, najwyraźniej usiłując zdobyć się na odwagę.

Nic z tego nie wyszło.

Przejechała taksówka, na którą Paulina skinęła ręką. Samochód zatrzymał się. Klaudiusz też.

– Tak. Nogi to ona ma jak anioł – powiedziała gorzko Ida, obserwując jak Paulina wsiada do Fiata i miga purpurowymi obcasami.

– Za to charakter godny potępienia – mruknął Krzysio bezwiednie, również nie spuszczając wzroku z Pauliny.

Taksówka odjechała. Klaudiusz popatrzał w ślad za nią i zrezygnowanym krokiem powlókł się przed siebie.

– No, już poszedł – powiedział Krzysio zza szalika. – Możesz za nim lecieć. W jego głosie była pewna złośliwość. Odszedł w głąb pokoju i siadł na tapczanie.

Ida przełknęła urazę i żal. Przysiadła na parapecie. Rozejrzała się.

Kwadratowy narożny pokój był jasny dzięki oknom zajmującym niemal całe dwie ściany. Czerwone zasłony łagodziły nieco dzienne światło i nadawały całemu wnętrzu ciepłą przytulność. Niski tapczan, na którym siedział Krzysio, był stary i przykryty jakąś wytartą narzutą. Poza tym stało tu jeszcze zawalone papierami biurko, półka na podręczne książki i dwa trzcinowe krzesła, pociągnięte czerwonym lakierem.

– Przyjemnie tu u ciebie – powiedziała Ida, kiwając chudymi nogami i oglądając plakat z Niemenem przypięty do ściany.

– Chciałbym żebyś już poszła – rzekł Krzysio, wciskając się w róg tapczana i patrząc na nią spode łba.

Ida wyobraziła sobie nagle parę staruszków, nasłuchujących z drugiej strony masywnych drzwi. Uśmiechnęła się mimo woli.

– No spływaj – przynaglił Krzysio.

– Dlaczego? – spytała Ida, grając na zwłokę.

– Niewygodnie mi tak trzymać szalik.

– To nie trzymaj – naiwnie poradziła mu Ida. – Po co go tak trzymasz i trzymasz?

– Spuchła mi twarz – wyznał z zakłopotaniem.

– Ach, tylko tyle! Mnie to nie przeszkadza, nie krępuj się. – Nic nie powiedział, ale szalika nie opuścił. Między ciemną grzywą, a żółtą plamą szalika widać było kawałek bladej twarzy i podłużne, ciemne, błyszczące oko.

Idusi zmiękło serce. Biedak.

– Chory jesteś? – spytała impulsywnie, podchodząc bliżej. Krzysio natychmiast szarpnął się i przycisnął plecami do ściany.

Dokończenie na str. 7